

## To przedstawienie boli, zostaje przed oczami, wdziera się pod skórę. „Punkt Zero: Łaskawe” Janusza Opryńskiego zamyka jego sceniczną triadę powieści ekstremalnych

Jacek Wakar, Polskie Radio

Janusz Opryński z nikim się nie ściga. Gdy we wrześniu 2013 roku oglądałem na premierowym pokazie „Lód”, zapytałem go, co będzie następnym. Po „Braciach Karamazow” Dostojewskiego i monumentalnej historii alternatywnej Jacka Dukaja kolejny wybór miał znaczenie kluczowe. Opryński odrzekł wówczas, że myśli o „Łaskawych”. Na razie czyta książkę Littella, szuka kontekstów, inspiracji i tropów. Zastrzegł od razu, że na pisanie adaptacji daje sobie rok, na pracę z aktorami przy nieustannych poprawkach w scenariuszu – kolejne kilkanaście miesięcy. Od sukcesu spektaklu według Dostojewskiego i ukonstytuowania wokół szefa lubelskiego Teatru Provisorium nowej, mniej więcej stałej grupy aktorów pracuje on właśnie tak. Przygotowanie spektaklu staje się więc nie tylko sprawą warsztatową. Opryński i jego ludzie narzucają jej swoje warunki. Są jednak przy tym na wskroś uczciwi, bowiem najbardziej rygorystycznie traktują samych siebie. Nie ma znaczenia, że aktorzy Opryńskiego w zdecydowanej większości grają na warszawskich scenach. Na wspólne szukanie wyrwywiają czas, tworzenie przedstawienia przy liderze Provisorium staje się niepostrzeżenie ważnym fragmentem

życia. Ci, którzy raz wystąpili w jego insceniżacjach, zazwyczaj zostają przy następnych projektach. Eliza Borowska była w „Lodzie”, Sławomir Grzymkowski wcielił się w nim w wiodącą rolę Benedykta Gierosławskiego, Jacek Brzeziński, jedyny w tym gronie lublinianin, gra u Opryńskiego od lat. Łukasz Lewandowski po Iwanie Karamazowie stał się Teslą w „Lodzie”, aby tą drogą dotrzeć do Maksa Aue z powieści Littella.

Patrząc na owe trzy inscenizacje i widząc, że to było konieczne. Teatr Janusza Opryńskiego zmierza bowiem do samopoznania. Dotyka to widzów, jeżeli są gotowi na takie doświadczenie. Przede wszystkim zaś aktorów, czyli współtwórców przedstawień nowego Provisorium. Nie to, że partia Iwana była łatwa. A Tesla? Jednak Aue wymaga jeszcze więcej. Odwagi stanięcia twarzą w twarz ze złem, wejścia w skórę ucznia diabła i stania się jego medium. Ekstremalnie trudne i wyczerpujące to zadanie.

Można żartować, że bierze się Opryński w teatrze za narrację niemożliwe. „Bracia Karamazow” z tej trójki w miarę gładko poddają się tłumaczeniu na język sceny, ale już z „Lodem” było znacznie trudniej. „Łaskawe” natomiast stanowią najbardziej karkołomny ze szczytów. Powieściowy debiut Jonathana Littella stanowi przeciwieństwo rozległa, epicką w wymiarze wojenną panoramę, z mrowiem postaci i zmieniających się jak w kalejdoskopie miejsc. Max Aue przemierza się po wschodnim froncie, zmienia Kaukaz na Polskę, statystuje przy kolejnych egzekucjach albo czynnie w nich uczestniczy. Machina Zagłady pracuje precyzyjnie i nieubłagane napędzana milionami trybików, takich jak Max Aue. Pamiętam, że czytałem liczącą ponad tysiąc stron powieść Littella zachłannie, chcąc jak najszybciej sprawdzić, czy rzeczywiście zasługuje na miano literackiej sensacji, jakim ją obdarzono. I odłożyłem ją bezradny, oszołomiony kunsztem młodego pisarza, ale lekturą jego dzieła psychicznie zdewastowany. Mimo że teatr Janusza Opryńskiego zawsze służy dobru, chociażby otwierając oczy na zło, po obejrzeniu „Punktu Zero: Łaskawych” miałem podobne odczucie.

Max Aue Łukasza Lewandowskiego zaczyna przedstawienie, wychodząc z widowni. Schodzi przed scenę, dziwnie przymilny

i spięty, jakby zdawał sobie sprawę, iż może być odebrany niczym nieproszony gość. Po chwili jednak rozluźnia się, zaczyna swą opowieść. W ciemnym garniturze, z jasnymi przylizanymi włosami, twarzą, co nie wyróżnia go z tłumu, nie pozuje na bohatera, nie przypomina aktora. Pyta, czy mamy czas, aby go słuchać. Za chwilę robi pauzę, by zwiolitować do kosza na śmieci, taką wstydliwą ma przypadłość. Trudno odkryć moment, gdy szaro zwyczajny Aue Łukasza Lewandowskiego zaczyna przerażać, jednak to uczucie już nas nie opuści. Przeciwnie, będzie narastać aż do końca seansu.

Max jest homoseksualistą, lubi zabawiać się z chłopcami, nie zważając na ryzyko. Do SS werbuje go Thomas (Sławomir Grzymkowski) – szantażem, że ujawni jego praktyki. Dla Maksa, doktora praw, rozmiłowanego w literaturze i filozofii, cytującego Tertuliana i Mistra Eckharta, nie ma w tym niczego odstręczającego. Mechanizm eksterminacji Żydów ma w sobie coś perwersyjnie pociągającego, co zachęca, by z bliska przyjrzeć się jego działaniu. Dlatego Aue wchodzi w szeregi SS, zdobywa kolejne szlify, poznaje wewnętrzne życie organizacji. Wstrząsające są sekwencje, gdy funkcjonariusze bawią się, omawiając jednocześnie postępy w realizacji śmiertelności planu. Ich głosy przebijają się przez muzykę disco, gdy wznoszą kolejne toasty za zdrowie wodza, a potem zastygają z ręką w geście hitlerowskiego pozdrowienia. Jednocześnie z kilku krzesel kleci się bydlęcy wagon, który za chwilę ruszy do obozu. W nim nagie przyszłe ofiary (Agata Góral i Artur Krajewski), gotowe do wywózki. A nieopodal trwa impreza, bo wszystko idzie swoim rytmem. Można się bawić aż do utraty tchu.

Zdumiewające, że z olbrzymiej powieści Littella udało się Opryńskiemu zbudować scenariusz na dwie i pół godziny spektaklu, do tego wartki, zrozumiały i komunikatywny. Wersja Provisorium trzyma się fabuły powieści, ale na samych zdarzeniach nie zatrzymuje. Odmalowuje to, co w „Łaskawych” najważniejsze. Sposób funkcjonowania nazistowskiego systemu Zagłady, dopracowanego aż do doskonałości, chwilę zarażenia najczystszym złem i przyjęcia go niczym wyznanie wiary. Wreszcie złączenie historii Maksa i jego siostry Uny

(Eliza Borowska) z opowieścią o Orestesie i Elektrze wziętą z „Orestei” Ajschylosa – i matkobójstwie, które naznacza i buduje bohatera, sprowadzając na niego gniew Eryonii, zwanych Łaskawymi. Wszystko to w lubelskim przedstawieniu jest gęste, do dna intensywne. Widowisko grane jest w centrum kultury, nie przeszkadza nawet scena rozmiarami niedostosowana do podobnych w skali dzieł. Scenograf Jerzy Rudzki, a także odpowiedzialni za światło i wizualizację Jan Piotr Szamryk oraz Jarosław Rudnicki jakąś przedziwną alchemią ją poszerzają i pogłębiają. Dzięki filmowi w przestrzeni zdarzeń wdzierają się morskie fale. Wcześniej jednak samym strumieniem światła buduje się przed naszymi oczami komorę gazową – najdoskonalszy wynalazek najdoskonalszego systemu zadawania śmierci. Światło tworzy szczelinę, za nią znikają skazani, za nią nie ma już nic.

„Punkt Zero: Łaskawe”, bazujący także na cytatach z „Życia i losu” oraz „Wszystko płynie” Wasilija Grossmana, a również myślach Imrego Kertésza, został rozpisany na sześć aktorów. I znów zdumienie, bo okazuje się, że to wystarczy, bo jego siła opiera się na kondensacji. I tak Agata Góral i Artur Krajewski grają wszystkie ofiary, m.in. zamordowanych przez Maksa jego rodziców. Una Elizy Borowskiej jest jego siostrą i kochanką, ale również wcieleniem kobiecości zaborczej, upodłonej i zbrukanej. Jacek Brzeziński nosi uniform wszystkich żołnierzy systemu większego i mniejszego kalibru. Wreszcie Sławomir Grzymkowski, który dostrzegł w Thomasie idealnego demiurga zbrodniczego machiny, mentora zła albo po prostu cynicznie uśmiechniętego, bo pewnego swej wygranej Diabła. Od tego, jak gra Grzymkowski, po plecach przechodzą dreszcze.

„Wojna się skończyła, wyciągnęliśmy wnioski” – mówi na koniec Aue, choć sam w to nie wierzy. Wielka rola Łukasza Lewandowskiego buduje przedstawienie, każe dostrzec w facecie, który założył teraz żakiet Uny i jej stanik, naszego brata oprawcę. „Punkt Zero: Łaskawe” to jedno z najważniejszych przedstawień ostatnich lat w Polsce. Teatr na wskroś serio: dobrze, że jest. ©

„Punkt Zero: Łaskawe” | reżyseria: Janusz Opryński | Teatr Provisorium w Lublinie

# Mój brat oprawca

